№ 45. Warszawa, dnia 27 Października (8 Listopada) 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

KASSYLDA KULIKOWSKA.

Odeszła nas szlachetna kobieta, której pamięci słów kilka poświęcamy.

Posiadała ona głęboko wyryte w sercu to uczucie, które, jak mówi Ś-ty Paweł w liście do Koryntyan, „wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa.“ Wyznawała głośno a gorąco tę prostą wiarę, która „cierpliwa jest, łaskawa jest, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy.“ I dla tego też, choć nie zostawiła dzieł wiekopomnych, choć nie rozsiewała złota wkoło siebie, zabrała ze sobą do mogiły żal szczery i cześć wielką, a głównie łzy tych, którym była duchową matką, siostrą, przewodniczką.

Ś. p. Kassylda Kulikowska urodziła się około roku 1840-go w radomskiem i w zaraniu już młodości poświęciła się ciężkiej pracy nauczycielstwa domowego, wytrwawszy na tych trudnych podstawach bytu lat około 10. Dobiega ćwierć wieku, jak przybyła do Warszawy, gdzie w przyjaźniejszych już warunkach bytu oddała się całą duszą umiłowanemu zawodowi pedagogicznemu. Umysłu bystrego, skoncentrowanego, wniknęła łatwo w ducha języka, obznajomiła się gruntownie z dziejami, pojęła dokładnie i odczuwała sercem gorącem wykładany przedmiot, rozsiewając z bogatego skarbca swej wiedzy ciepłem i rozumnem słowem światło i prawdę. Obfite ziarna nauki i piękna rzuciła w umysły młodego pokolenia, bo uczyła je nietylko suchych reguł gramatycznych, dat i faktów, ale rozwijała w niem miłość, wiarę w dobro i sprawiedliwość.

KASSYLDA KULIKOWSKA.

Gruntowna wiedza, estetyczne i artystyczne wykształcenie, umiłowanie pracy i obowiązku, opierały się u niej na rozwiniętem uczuciu i charakterze o żelaznej woli i wytrwałości. Miłością szła do celu, a wytrwałością przezwyciężała wszystkie trudności. Sama pracując ciężko na chleb powszedni, jeszcze drugich nim obdzielała i starczyło jej zawsze czasu i słów serdecznych dla nędzarzy, którzy u drzwi jej, zawsze otwartych—szukali pokrzepienia, rady, otuchy,—starczyło jej funduszów ze skromnych nauczycielskich oszczędności na ciepłą strawę i odzienie dla biednej dziatwy, dla kształcącej się młodzieży, na zapomogi dla chorych. A gdy własnego grosza nie starczyło, brała kij żebraczy, by u innych kołatać o pomoc dla swej łaknącej drużyny.

Otaczała ciepłą i tkliwą opieką wychowanki ochron i szwalni, chętnie, bez względu na siebie czas swój i zdrowie dając pożytecznym sprawom. I tak, powstała z inicyatywy nieboszczki, ener-

giczną jej ruchliwością poparta a siłą woli dźwignięta, Kassa pożyczkowa dla nauczycielek przy tutejszem Towarzystwie Dobroczynności—istytucya ważnej doniosłości dla tej nieszczęśliwej rzeszy kobiet, które pożyteczną a ciężką i wyczerpującą pracą nauczycielską, zaledwie na utrzymanie życia zarobić są zdolne, cierpiąc nieraz dotkliwe braki.

Jak perły ze słabej nitki zsunięte, rozsypały się wsród nas myśli, uczucia rozumne i pożyteczne czyny ś. p. Kulikowskiej. Trudno je wszystkie nanizać, stworzyć pełny obraz jej działalności i wypowiedzieć jak była samodzielną w myślach, jak tkliwą w miłosierdziu, jak szczerą i poświęconą w przyjaźni, jak sumienną w pracy, jak wytrwałą w przedsięwzięciach. Zmarła w sile wieku — miła ludziom, szczęśliwa przez spełnienie obowiązków — zmarła dnia 23-go Lipca 1894 r.

J. K.

TOPOLA.

Wystrzeliła ku wyżynie
I w niebiosach zda się ginie
Topola.
W złote zorze—w barwy tęczy—
W srebrne chmury skronie wieńczy
Topola.
I wpatrzona w nieba zorze
Tajemnice widzi boże
Topola.
Pełna bożej tajemnicy
Czerpie siły z nieb krynicy
Topola.
Przeto stoi jak kolumna —
Niezachwiana—silna—dumna—
Topola.
Lecz czyż cała tkwi w eterze,
Czyli z ziemi nic nie bierze
Topola?
Nie—nad wszystkie inne drzewa
Głębiej sięga w ziemi trzewa
Topola.
I w wyżynach kąpiąc czoło,
Naokoło widzi sioło
Topola.
Widzi kwiaty—widzi chaty—
Widzi złotych pól kwadraty
Topola.
Widzi w okrąg całą ziemię
I rolnicze widzi plemię
Topola.
I w podziemne sięga cienie,
Kryjąc w głąb jej swe korzenie
Topola—
W głąb—w jej żyzną pierś gorącą
Kochającą—i karmiącą—
Topola.
I z podziemnej ćmy głębokiej
Życiodajne czerpie soki
Topola.
Jednę siłę bierze z nieba—
Drugą z ziemi czarnej chleba
Topola!

Bądź, poeto, jak topola—
Lotem skrzydeł różnolity:
Jednem ziemskie odczuj pola,
Drugiem skrzydłem leć w błękity!
Najpiękniejsza to muzyka
I najpiękniej życie wciela,
Co najgłębiej w ziemię wnika,
I najwyżej w niebo strzela.

A. Lange.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

II.

Niebo w drugi dzień Świąt Zielonych zajaśniało błękitem. Kto żyw, ruszył się z domu, nacieszyć się słońcem, odetchnąć zapachem pól, kwiecistych łąk i lasów.

Słońce majowe, po-królewsku hojne, zajrzało wszędzie.

W małem mieszkanku na Lesznie frontowe okna trzeciego piętra, otwarte szeroko, zalewała istna powódź blasków słonecznych.

Białe, delikatne muśliny firanek poruszał lekko wietrzyk, kołysząc wysmukłemi łodygami palm i ciemno-zielonemi liśćmi rododendronów. Mały balkonik, zastawiony kwiatami, wyglądał jak bukiet zawieszony w powietrzu.

Wsparta o żelazną balustradę, stała Wanda, tuląc do siebie Jurka. Kilka lat ostatnich musiały boleśnie zaznaczyć się w jej pamięci, bo w tej twarzy dwudziestoletniej dziewczyny nie było pogody ani wesela.

Zestarzała była przedwcześnie ową surowością i powagą, która tak rychło wyżłobiła zmarszczki na gładkiem czole i wkoło ust świeżych.

Gdyby można było rzucić w skołatany umysł dziewczęcia nieco nadziei na przyszłość, zatrzeć wspomnienie przeszłości, ciemną głębię oczu rozświetlić jasnym jakim promykiem, jakże piękną byłaby ta twarz, surowa i poważna! Trudno to jednak było.

Młodość dziewczęcia w dziwnie smutnych upływała warunkach. Umysł dojrzały przedwcześnie zawiele zgłębiał przykrych życia tajemnic, za subtelnie analizował.

Cóż więc dziwnego, że coraz smutniej, coraz ciemniej robiło się wkoło niej? Usta odwykły składać się do uśmiechu, trwoga o los ukochanych wyrazem niestartego cierpienia oblekała rysy.

Stojąc teraz na balkonie, zawieszonym wysoko, obca ruchliwemu życiu, które wrzało u jej stóp, wybiegła wzrokiem poza szare mury kamienic, jakgdyby upatrywała czegoś w mglistej dali.

Niebo takimsamym błękitem uśmiechało się ziemi owego poranku, kiedy, z dojmującym bólem w sercu, przyszło garstce rozbitków porzucić Kamieńce, ten kawałek ziemi, pełen pamiątek, krwawego potu i tylu, tylu wspomnień! O, jej dotąd jeszcze brzmi w uszach dźwięk kościelnego dzwonu, wzywający na mszę ostatnią, którą ksiądz staruszek, łatami długiemi i przyjaźnią z odjeżdżającemi związany, nabrzmiałym łzami głosem śpiewał do Pana nad Pany, błagając łaski Jego i Opieki dla tych nieszczęśliwych, którzy odchodzić muszą od wszystkiego, co ukochali, na życie pełne trosk i niepewności smutnej o jutro. W natłoku wspomnień, coraz jaśniej dobywających się z głębin duszy, widzi ona wyprostowaną sztywnie a jak trup bladą postać babki, która, wobec rozdzierającego pożegnania sercu swemu potrafiła nakazać milczenie i tylko raz, raz jeden zachwiała się i jęknęła: gdy na cmentarzu skołataną głowę przytuliła do nagrobka męża.

A ojciec? Jak on wyglądał? Twarz młoda jeszcze, a włos, jak u starca, siwy, wzrok przygasły, cała postać złamana, przybita! Nie chciał się żegnać z nikim, uciekał, rozpaczał i gdyby nie Borzycki, który do chwili ostatniej nie opuścił go, kto wie, jakie nieszczęście stać się mogło...

Rok już upłynął, a ona wszystko tak żywo pamięta! Duszno jej, ciasno, jak uwięzionej ptaszynie, w tych murach szarych, brak powietrza, swobody, widoku rozległych pól... wiejskiego gwaru, tak niesłychanie różnego od tych hałaśliwych odgłosów wielkiego miasta, gdzie każdy za czemś goni, śpieszy się, żyje gorączką i nerwami.

Gdyby chociaż Lora była tu z nią razem!

Wanda kocha bardzo Muszkę, kocha Jerzego... ale Lorka, najwięcej zbliżona wiekiem, taka śliczna i od tak dawna z nią rozłączona. Jasny, wesoły dzień wiosenny obudził cały szereg myśli smutnych, i blada dziewczyna potarła dłonią czoło.

— Gdyby to można zapomnieć...—szepnęła cichutko. - Gdyby można!

Jerzego milczenie siostry zaczynało już niecierpliwić. O czem ona tak myśli? Chciałby ją namówić do przechadzki nad Wisłą.. Tak tam ślicznie i wesoło... Wczoraj był ze starą Barbarą, widział przygotowania na dzień dzisiejszy... Dużo ludzi wybierało się do Bielan, przystrajano statki w różnokolorowe flagi i wieńce...

— Wandziu — rzekł wreszcie, tuląc się do niej z pieszczotą.—Taka śliczna pogoda... możebyśmy poszli na spacer? W Kamieńcach byłem zawsze prawie w ogrodzie, na polu i wszędzie, a tu...

W głosie dziecka przebijała tęsknota, Wanda zwróciła się żywo ku niemu.

— Chcesz pójść na spacer? — pyta, głaszcząc brzydką twarz braciszka, z wyrazem macierzyńskiej czułości.—Zgadzam się chętnie, ale nie pójdziemy prędzej, aż po obiedzie. Muszę teraz Barbarze dopomódz... Babunia wróci niezadługo z kościoła i ojczulek nadejdzie; obiad musi być gotów...

Wesoły uśmiech rozjaśnił twarz Jurka.

— Jakaś ty dobra!...—szepnął z wdzięcznością. —Ale, Wandziu, pójdziemy nad Wisłę... Dobrze? Ja tak lubię patrzeć, jak statki mkną po fali daleko... daleko... Wiesz? Zdaje mi się nieraz, że jakbym tak płynął, płynął... to bym może i do Kamieniec dopłynął. Co oni też tam robią teraz: Mateusz, Woźnisia i wszyscy? Neptun z pewnością warczy na każdego, kto go chce pogłaskać... Mój Boże! żeby chociaż Neptun mieszkał tu z nami...

Oczy Wandy zamgliły się wzruszeniem. Skarga dziecka, sprawiła jej ból...

— Nie roztkliwiaj się wspomnieniami, Jerzy — rzekła, udając surowość, od której była daleką.— Chłopiec powinien być mężnym i nie poddawać się żadnym słabostkom. Wierzę ci, że za Neptunem tęsknisz, że brak ci i osób i swobody, jaką tam miałeś, ale — rzecz jest nie do odrobienia i czem mniej będziesz o tem mówił i myślał, tem lepiej dla ciebie.

— Chciałbym choć raz jeszcze w życiu tam pojechać, siostrzyczko—mówi prosząco Jerzy, a oczy, które podniósł na Wandę, kąpią się we łzach.

— Popłynąć Wisłą naprzykład...—żartuje Wanda, chcąc go rozweselić. — Czyśmy się nie uczyli, paniczu, zkąd ta piękna rzeka bierze początek i dokąd uchodzi? Śledziliśmy przecie bieg jej na mapie i widziałeś sam, jak daleko była od Kamieniec?

— Tak, to prawda! — odpowiada zawstydzony nieco chłopiec.—Ale myślałem, zdawało mi się, że może do Wisły płynie jaka rzeczka, jaki strumień... tobym w każdym razie dopłynął...

— Oczywiście; skoro kto bardzo usilnie chce dopiąć czego, to zawsze dojdzie do celu — rzekła Wanda.—Przypuszczam więc, że i ty Jurku, znalazłoyś drogę do Kamieniec. Tymczasem jednak powtórz jutrzejsze lekcye, skoro po obiedzie mamy pójść na spacer.

Pocałowała czoło chłopca i odesłała go do książek, pragnąc na chwilę krótką pozostać samą. Rozmowa z bratem rozżaliła ją więcej jeszcze, spotęgowała jej tęsknotę. O tak! oni wszyscy tęsknili i nigdy się chyba nie odtęsknią... Babunia, ojczulek... nawet stara Barbara...

Nigdy z sobą nie rozmawiają o Kamieńcach, ale ona—Wanda—wie aż nadto dobrze, ile cierpią...

Sama nie wiedziała kiedy, wielkie krople łez spadły na zielone liście roślin, które, z Kamienieckiej oranżeryi przywiezione, z prawdziwą czułością pielęgnowane były przez biednych wygnańców, I dzwonka nie słyszała... Ocknęła się z zadumy dopiero wówczas, gdy Michał Borzycki stanął przed nią.

— Nie było nikogo w saloniku—tłómaczył się, patrząc ze współczuciem w zapłakane oczy Wandy.

Zaskoczona w ten sposób Wanda, nie zdolna już ukryć łez, stała przed nim onieśmielona i zmieszana.

— Nic nie szkodzi—mówi bardzo cicho. — Babunia w kościele, ojciec wróci za chwilę...

Borzycki delikatnie, nieśmiało prawie ujął jej rękę.

— Pierwszy raz widzę, że pani płaczesz—szepnął smutnie.—Dotąd byłaś pani zawsze odważną i wytrwałą.

— Sama nie wiem, doprawdy, co mnie tak rozrzewniło dzisiaj — odparła, siląc się na spokój.— Pogoda przepyszna i nie zaszło przecież nic nowego. Wstydzę się, bo nawet zachmurzonym niebiosom nie mogę przypisać mego nastroju melancholijnego...

Usiłowała żartować, piękne oczy Borzyckiego nie schodziły z jej twarzy.

Istoty, które rzadko płaczą, nie uspakajają się łatwo. Widać było po szybko falującej piersi i zmienionym głosie, z jaką trudnością pokonywa Wanda wzruszenie.

— Ciężko pani walczyć z tęsknotą i pogodzić się z nowemi warunkami; pojmuję to aż nadto— rzekł z gorącem współczuciem.—Podziwiałem niejednokrotnie wytrwałość i energię pani. Zdaje mi się wszakże, iż wielką pociechę stanowić powinno dla pani przeświadczenie, że robiłaś i robisz co tylko leży w zakresie możności ludzkiej, by dopomagać rodzinie.

— A pan?—Załzawione oczy Wandy podniosły się na niego z żywą sympatyą.—Komuż, jeżeli nie panu, zawdzięczamy przedłużony o lat kilka pobyt w Kamieńcach? O nigdy, nigdy nie zapomnę jak byłeś pan dobrym dla nas — dodało dziewczę gorąco.

Borzycki smutnie się uśmiechnął.

— Darzysz mnie pani ponad zasługę—odparł zwolna, ze wzrokiem w dal wpatrzonym.—Pracowaliśmy wszyscy, o ile możności... Niestety, bezowocnie!...

— Ulegliśmy sile wypadków najnieprzyjaźniejszych — rzekła Wanda, otrząsając się powoli. — Zresztą, tak Bóg postanowił... Rozpaczanie nad tem, co się stało, uważam za zbytek w naszem położeniu i rzadko sobie nań pozwalam.

— Szczęśliwe to są istoty, które posiadają taką moc ducha i nie dadzą się ugiąć cierpieniu.—Borzycki mówił to jakby do siebie, głosem powolnym, znużonym.—Ach, czemuż ja nie mogłem, za jakąbądź cenę uratować was...—dokończył cicho, odpowiadając widocznie biegowi swych myśli. — Człowiek, liche stworzenie, bywa najczęściej bezsilnym wtedy, kiedy radby być olbrzymem i stanąć do walki, nie tylko z losem, ale z całym światem. Przykro, boleśnie odczuwa się wówczas tę bezsilność swoję...

Umilkł wzruszony, Wanda nieśmiało wyciągnęła do niego rękę.

— Zapominałeś pan o sobie, ratując ludzi, którzy ci przecie obcymi byli... Mój biedny ojciec tyle, tyle panu zawdzięcza. Wszakże... — chciała coś mówić jeszcze, dzwonek w przedpokoju, szarpnięty gwałtownie, przerwał rozmowę.

— Przepraszam, ale to ktoś obcy dzwoni... — wybiegła szybko, a po chwili głośny, radosny okrzyk wyrwał Borzyckiego z zadumy.

Wanda, bez tchu prawie, stanęła we drzwiach saloniku.

— Lora, Lorcia — mówi, przyciskając ręką mocno bijące serce. — Lorka przyjechała. Jest już w Warszawie i wzywa mnie... Boże, Boże! Jakie szczęście, jaka radość!

Borzycki spojrzał na nią zdumiony.

— Co, co?— pyta.— Co pani mówi?

— Lorcia moja jest w Warszawie i dziś, dziś jeszcze ją zobaczę — odpowiada uszczęśliwiona dziewczyna, z oczami dziękczynnie zwróconemi ku niebu.—Czy ja się spodziewałam, czy bym przypuściła!... Listu nie było tak dawno... O, jakże się ojczulek ucieszył!... A babunia?

Wtem żywą jej radość coś nagle przyćmiło.

Jak ojciec przywita matkę?

— Wiem, o czem pani myślisz teraz—rzekł Borzycki, czytając trwogę w jej oczach. — Mam nadzieję, a nawet upewniam panią, że wszystko pójdzie dobrze. Skoro panie wróciły, to już dobrym jest znakiem; ojciec pani z pewnością powita radośnie i żonę i córkę, Kiedy pani zobaczysz się z siostrą? Potrzeba przygotować panią Kamieniecką i ojca pani. Zbyt nagła o tem wiadomość, mogłaby zaszkodzić obojgu. Czy pozwoli pani pozostać nieco dłużej? Nie uważam się za obcego i—zdaje mi się—pochlebiam sobie, że i państwo tak mnie nie uważacie.

— Oczywiście.—Myśli Wandy były wciąż przy Lorci.—Ja, oddawna już nawykłam widzieć w panu dobrego, starszego brata—odparła.—Zostań pan, proszę z całego serca. Pamiętam, jak Lora wspominała zawsze serdecznie o panu. W listach zapytywała niejednokrotnie...

Plątała się, zacinała... Borzycki uśmiechał się dobrotliwie.

— Jak szybko łzy smutku w łzy radości się zamieniły—rzekł z uczuciem, ściskając rękę Wandy. —Dzięki stokrotne, za to, coś pani powiedziała przed chwilą. Mam nadzieję, że nie zawiodę zaufania. Ale otóż i ojciec pani. Ostrożnie, powoli przygotujemy go do radosnej nowiny.

Ujął rękę dziewczęcia i poniósł do ust.

— Raz jeszcze dzięki—szepnął gorąco.—Życie z ochotą-bym poświęcił, byle was widzieć szczęśliwymi.

Wanda zdziwiona spojrzała na niego Nigdy dotąd nie widziała go tak rozrzewnionym. Nie miała atoli czasu zastanawiać się... Nadzieja zobaczenia siostry pochłonęła ją całkowicie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

II.

Maruder, komedya w 3-ch aktach, oryginalnie napisana przez St. Graybnera.

Autor „Fredzia“ i „Ireny“ późno zabrał się do pióra, ale zdolności, a zwłaszcza owego „nerwu scenicznego,“ jako komedyopisarzowi, odmówić mu niepodobna.

Dotychczas w sztukach p. Graybnera całość zazwyczaj szwankowała, tezy stawiane przez niego nie wytrzymywały krytyki, jaskrawość pewnych sytuacyi i charakterystyka głównych bohaterów i bohaterek raziły często, prawdziwego pogłębienia i etycznej zwłaszcza miary nie dostawało: mimo to w tych wadliwych całościach zdarzały się wyborne szczegóły, doskonałe nawet sceny, effektowne epizody, ślady bystrej obserwacyi, a przedewszystkiem siła kolorytu w obrazie, malowanym nie zawsze wprawną i artystyczną, ale mocną i energiczną ręką. Tensam stosunek nierówny rysów ujemnych i dodatnich, dobrych i złych stron, widnieje i w najnowszym jego utworze, ale mimo to odnosi się wrażenie, że jest on płodem siły niewyrobionej, jednak siły rzeczywistej, co znaczy dużo i czego, niestety, o wielu pisarzach scenicznych nowszej doby powiedzieć-by się nie dało.

Pan Graybner powinien tworzyć dla sceny, ale powinien dłużej obmyślać, przetrawiać, analizować swoje tematy, aby pod względem idei zdawał sobie z nich jasno sprawę i nie pozostawiał swej twórczości na łasce samego instynktu i chwilowego natchnienia.

Gdyby to był uczynił przed napisaniem, a raczej przerobieniem, powieści swojej „Pan Wyręba“ na komedyę p. t.: „Maruder,“ byłby zapewne stworzył rzecz o wiele lepszą, a przynajmniej o wiele jaśniejszą pod względem zasadniczej idei sztuki.

Tytuł mi się podoba i tytuł ten zdaje się usprawiedliwiać pewien anachronizm, jaki tego rodzaju typ społeczny w naszych czasach stanowi.

Ów maruder, zapóźniony na drodze postępu, którego dwa pokolenia wyprzedziły już dawno, to wcale dobra figura, tylko trąci myszką i na scenie stała się anomalią tak samo, jak w życiu.

Może są jeszcze gdzieś takie mamuty zaściankowe wśród szlachty, odciętej od świata, na zapadłych wioskach, gdzie zegary z kukułką liczą im powolne godziny i spaźniają się o całe lat dziesiątki, gdzie w biblioteczkach domowych na pierwszem miejscu leżą stare herbarze Niesieckiego i Paprockiego, jako jedyne spisy ludzi „dobrze urodzonych,“ gdzie wysokie obcasy ucina się pannom siekierą na klocku, język francuski jest przedrwiwanym dziwolągiem i gdzie przesądy do pewnych stanów poza ziemiańskim plenią się bujnie, jak chwasty na roli niewyplewionej,—może są tacy panowie Horoszowie, jak bohater komedyi p. Graybnera, ale chyba jako okazy szczątkowe bardzo zacofanej warstwy, która oślepła, ogłuchła i skostniała w swoich pojęciach o życiu, świecie i postępie.

Takiego mamuta wyprowadził nam autor na scenę i kazał uwierzyć, że to obywatel ziemski z Sanockiego w Galicyi, człowiek i typ nam współczesny, figura żywa, realna, prawdziwie wystudyowana z natury.

Stało się zwyczajem przenosić akcyą do Galicyi w komedyach i powieściach, jeżeli w nich występują ludzie i stosunki nieprawdopodobne, jakby w tej jakiejś literackiej *pars infidelium*, było wyłączne miejsce dla wszelakich anormalności.

Nie wiem, czy p. Graybner zna tak dobrze Galicyą, ale pozwalam sobie wątpić, aby dziś jeszcze znaleźć mógł dużo takich maruderów wśród ziemiaństwa, dla których pierwszym warunkiem *sine qua non* wszystkiego, jest szlacheckie pochodzenie i herb; o arystokracyą się nie spieram, bo ta ma swoje zakorzenione przesądy, jakkolwiem i ona powoli musiała się zgodzić z prądem czasu, który nie poprzestaje na uznawaniu samych tytułów odziedziczonych, jeżeli przy nim nie ma żadnych innych, własną pracą i zasługą nabytych.

W „Maruderze“ zaś mamy szlachcica na jednej wiosce, który, z butą karmazyna dawnej daty, traktuje wszystkich „nie-panów braci,“ adwokata uważa za kanuzyperdę, któremu można z potrzeby powierzyć sprawę, ale nigdy własną córkę, zwłaszcza, jeżeli nie ma szlacheckiego klejnotu przy dyplomie; do syna czuje urazę, że poszedł z domu pracować na własny kawałek chleba i w górnictwie służy jako urzędnik; żonie wyrzuca nowatorstwo dlatego, że córki postanowiła kształcić na pensyi w Krakowie i zmieniła staroświeckie umeblowanie w domu, córkom zaś bez apellacyi przeznacza mężów zpośród młodych sąsiadów, chociaż jeden jest dobry chłopak, głupi ale zdrów, a drugi jąkała, ograniczony i naiwny ale zapalony myśliwy. Obaj wszelako mają pierwszeństwo przed wszystkimi adwokatami, doktorami, urzędnikami i t. p. hołotą, bo są *bene nati et possessionati*.

Pan Graybner twierdzi, że w Sanockiem są jeszcze tacy maruderzy, ja nie przeczę, że byli, możemy się tedy różnić co do daty, ale zgodzić co do samego typu, który ma dużo cech trafnych, prawdziwych, podpatrzonych gdzieś, kiedyś w starych dworach i starych szlagonach *in illo tempore*.

Inna rzecz, czy wprowadzanie takiego typu na scenę dzisiaj jest czemkolwiek usprawiedliwione w komedyi p. Graybnera, czy ta scena, która wymaga rzeczy nowych a zwłaszcza aktualnych, opierających się choćby najlżej o tak zwane „kwestye,“ dla podobnych, spłowiałych figur, jak p. Szymona Horosza jest odpowiednią ramą?—słowem, czy sam temat i sam pomysł, jak na komedyą współczesną nie jest poniekąd także anachronizmem?...

Nie wahałbym się odpowiedzieć twierdząco, gdyby mnie sztuka p. Graybnera nie rozbrajała swoją rodzajowością i swojskością; wypełnia ją atmo-

sfera naszej wsi i dworu, ma bardzo dobrze odtworzone tło obrazu, który nawet w dekoracyi z widokiem na gumna, stodoły i dziedziniec dworski oddziaływa sympatycznie, wreszcie ma w sobie jakiś jowialny humor i ciepło, które udzielają się widzowi.

Ale to właśnie, co mi się w „Maruderze“ podoba, ta charakterystyka malownicza i lekko realistyczna figur i tła w obrazie, co może bardzo dobrze wyglądać w powieści, (a tej nie znam), staje się w komedyi wadą, balastem, obciążającym akcyą, wytwarza dłużyzny, przewlekłości dyalogów i tamuje żywszy ruch, który nadawać powinien życie sztuce.

Jest w „Maruderze“ mnóstwo bardzo dobrych nawet szczegółów, które jednak do akcyi nie należą, któreby można wypuścić bez ujmy dla tematu, ale bez których zostałoby rusztowanie puste, wątłe i zbudowane na podpórkach bardzo chwiejnych.

Treści w tym trzyaktowym obrazku rodzajowym bardzo skąpo.

Pan Horosz nie chce wydać córki za adwokata, którego jego panny z matką poznały w Krakowie, bo adwokat ten nazywa się pospolicie „Rzepny“ i „nie stoi w Niesieckim“.

Dla młodszej, Basi, przeznaczył już sąsiada Dominika Pękalskiego, dla starszej Natki, drugiego, sąsiada, Wacława Grójeckiego.

Syna zaś postanawia ożenić z ciepłą i ładną wdówką, panią Kamillą Klonowską, także sąsiadką.

Sztuka kończy się trzema parami tak, jak się w początku zapowiada, ale w odmiennej nieco kombinacyi. Ostatecznie prawa serca i dyplomacya kobieca zwyciężają:—Natalka zostaje panią adwokatową, a Basia pozbywa się śmiesznego jąkały, zamieniając się z siostrą na konkurrenta i wychodzi za poczciwego, ale też i tyle, Wacka Grojeckiego.

Jak się to zaś stało, że maruder odstąpił od swoich przesądów i zgodził się na zięcia adwokata?—opowiem w kilku słowach:

Oto młody Zygmunt Horosz zgubił 6.000 guldenów, które mu Dyrekcya kopalni powierzyła do wypłaty robotnikom; muszę dodać, że zgubił je we... własnej kieszeni, która była dziurawą i ta dziura w burce jest również wielką dziurą w pomyśle p. Graybnera. Dyrekcya podejrzewa Zygmunta, że pieniądze w karty przegrał; nie ładnie to ze strony Dyrekcyi, która w ten sposób bezpodstawny ubliża swojemu urzędnikowi, mającemu opinię porządnego człowieka i sumiennego officyalisty, nie ładnie też, że mu nie pozwala się nawet wytłómaczyć, ale grozi odrazu rozesłaniem listów gończych.

Stary Horosz nie jest wcale względniejszym od Dyrekcyi, bo na słowo wierzy w szulerkę syna i w popełnione przez niego nadużycie, chociaż powinienby go znać od dziecka lepiej, aniżeli syn swoją własną kieszeń, połykającą pugilaresy z 6.000-mi guldenów.

Przypadek tworzy wprawdzie kollizyą, ale ostatecznie kollizya jest rzeczywiście w sztuce i trzeba ją rozwiązać; do tego celu autor wybrał pana adwokata, który nie po-adwokacku lecz po-przyjacielsku, nie bardzo zręcznie, ale bardzo poczciwie ją rozwiązuje. Zakłada za Zygmunta swoje własne pieniądze pod pozorem, jakoby się rzeczywiście zguba znalazła, i wyrabia w Dyrekcyi nietylko rehabilitacyą, ale i awans dla przyjaciela.

Wtedy stary Horosz, który tę adwokacką przysługę chciał opłacić gotówką Rzepnemu, zmienia honoraryum i przekonywa się, że ten Rzepny, jakkolwiek go niema w herbarzu, jest wcale porządnym człowiekiem, i oddaje mu wreszcie córkę, przyczem wszelako dowiaduje się w ostatniej chwili, że niesłuszne miał uprzedzenia do przyszłego zięcia, bo Rzepny jest szlachcicem i stoi w herbarzu, tylko trzeba go szukać pod literami Rz, nie Ż, bo nazwisko od „rzepy“ pochodzi.

— Dobrze to przy szlachectwie znać się trochę na ortografii, — powiada sobie w końcu zawstydzony obywatel, co to „krzywo pisze, prosto orze“ i tym morałem bije się w piersi, choć nie zupełnie słusznie, bo nie był obowiązany wiedzieć, że nazwisko adwokata od „rzepy“ pochodzi; mogłoby się pisać i przez proste Ż, ale *litera nocet, litera docet* w sztuce p. Graybnera.

W ostatniej scenie znajduje się jeszcze i pugilares w burce, aby zbyt drogo nie trzeba było opłacać owych trzech małżeństw, któremi się sztuka pomyślnie kończy, jak na komedyą przerobioną z powieści przystało.

Tę robotę przykrawaną znać w „Maruderze“ a najbardziej w akcie trzecim, który jest łatanym i sztukowanym pod koniec dosyć niezręcznie, a któremu formę poprawić mogła—nie igła,—ale nożyce reżyserskie.

„Maruder“ jest trzecią czy czwartą dopiero sztuką p. Graybnera; jestem pewny, że dalsze będą coraz lepsze i szczerze życzę tego zarówno autorowi, jak i scenie.

Trzy role w komedyi tej dają wdzięczne pole do popisu, a mianowicie: tytułowa, którą grał p. Rapacki, charakterystyczna jąkały—konkurenta, świetnie grana przez p. Frenkla, i naiwnej trzpiotki wiejskiej, która bywa specyalnością p. Czakówny.

Pan Wolski przypominał mi trochę „Jacusia“ Lubowskiego a trochę „Wicka i Wacka“ Przybylskiego, których stwarzał na scenie warszawskiej, ale też i sama rola drugiego konkurrenta przypomina owe dwa poprzednie typy.

Reszta obsady miała właściwych przedstawicieli w paniach Rakiewiczowej, Federowiczowej, Borkowskiej i p. p. Prażmowskim, Nowickim i innych.

Mimo to na przemiany dyalog kulał i sufler powinien był figurować na afiszu, jako osoba główny udział w sztuce biorąca.

M. Gawalewicz.

Z WŁOCH.

Przeżyłem tu jedną chwilę piękną, jak gdyby wpośród was, i ręka wyciągnęła się też do pióra, aby porozmawiać z wami, choć przez przestrzenie. Akt odsłonięcia pomnika Szopena w Żelazowej Woli opisały tu najpierw dzienniki medyolańskie, a za niemi i rzymskie, miejscowi wirtuozi zapisują tu sobie za pośrednictwem Paryża jego utwory, czy tylko melancholijna, roztęskniona jego muza przypadnie im do serca, jak to wyraził już poeta włoski, Henryk Boito, rodak nasz pół krwi, bo matka jego jest Radolińska, a który właśnie pisze obecnie libretto do nowej opery Verdie'go „Caliban“, osnutej na tle nieśmiertelnie pociągającego ludzi utworu Szekspira „Burza“. A odbył się tu właśnie wspaniały akt uczczenia tego znakomitego mistrza tonów, który przebywa obecnie w Paryżu, gdzie się udał dla kierowania próbami swego wspaniałego utworu „Otello“, nie znanego jeszcze we Francyi. Jak spodziewać się było można niemylnie, stało się to jednym więcej tryumfem wielkiego mistrza, który niespracowanie dyrygował sam próbami w teatrze Wielkiej Opery, jak sam przejrzał i osobiście poprawił przekład libretta, które też jest dziełem niepospolitem, uwydatniającem filozoficznie dwa różnorodne i sprzeczne ze sobą pierwiastki uczuć ludzkich. Prezydent, Casimir-Périer, ozdobił też pierś jego wielkim krzyżem orderu Legii Honorowej i to na scenie teatru Wielkiej Opery przy ogłuszających oklaskach i przemowach, odzywających się z lóż i krzeseł, z paradyzu nawet.

Rzecz powtórzyła się w Turynie. Choć dzienniki nie podały dnia jego tam przybycia w powrotnej podróży, ale snadź ci, którzy pragnęli tego szczerze, poczynili odpowiednie kroki, aby gdy pociąg przystanął, maëstro ujrzał grono ludzi zgromadzonych na perronie i nie służba kolejowa, ale oni odemknęli drzwiczki wagonu i w tryumfalny jakoby sposób przeprowadzili go do poczekalni, przybranej świątecznie w draperye i kwiaty. Mistrz liczy już sobie lat osiemdziesiąt, ale wiek tak go nie pochylił, jak nie wyziębił mu w piersi tego świętego ognia, który się zowie natchnieniem. Obok wstążeczki Legii Honorowej, która widniała u guzika, miał rozkwitający pączek białej róży i serdecznie ściskał ręce ludzi, zwłaszcza ministra oświecenia Baccellego, z którym go łączy zażyłość przyjazna.

Zmarł tu w tych dniach człowiek uczony i zarazem wielce szanowany ze względu na swe uczucie obywatelskie, Jan Rossi, badacz katakumb rzymskich. Dzieło jego w tym przedmiocie, „Roma Sotteranea“, należy tu do najcenniejszych prac naukowych naszego czasu, które też wymagało całkowitego poświęcenia tej pracy trudnej i mozolnej, bo trzeba tu było poznać gruntownie całą tę przeszłość, którą wskrzesił piórem swoim w trzech grubych tomach, kreślonych malowniczo, przecież na tle badań tak mozolnych, że pochłaniały niejako całą jego istotę i Rossi żył jakoby nie na ziemi, ale pod ziemią. Przygotowywał do druku tom czwarty dzieła swego, gdy śmierć zakołatała, wołając na odpoczynek wieczny; w 1892 r. obchodzono tu bardzo uroczyście pięćdziesięciolecie jego pracy i w przyszłym liście do was dołączę ważniejsze szczegóły o tej postaci charakterystycznej, przedstawiającej typ szlachetny zamiłowania pracy i nauki. Dzienniki już nawoływają, aby na placu Ara Coeli, przy którym mieszkał lat wiele i gdzie zamknął powieki, wzniesiono pomnik jego pamięci.

Papiezka Akademia Arkadyi odbyła już uroczyste swe posiedzenie, czci jego poświęcone, na którem wygłaszano wiersze cześć te wyrażające, a deklamowali je ludzie poważni, jak monsignor Carini, monsignor Farabulini, Horacy Maracchi, a wiersze te zapewne zamieszczone będą w którem z czasopism rzymskich. Kongregacya Indexu zebrała się też w tych czasach dla rozpatrzenia i osądzenia najnowszego dzieła Zoli „Lourdes“ i zaliczyła je do rzędu dzieł zakazanych do czytania bez wyjątku żadnego wszystkim katolikom. Rzecz jest też tak ohydna, tak nawet nieprzyjemna do czytania bez względu na wyznanie tego, kto ją czyta, że i bez tego bardzo mała liczba osób chciałaby brudzić sobie wyobraźnię tym zbiorem wstrętnych scen upadku istoty ludzkiej i zostawiając to na boku, przejdźmy do milszego przedmiotu. kongresu Tow. Dante Alighieri, który w ostatnich dniach zeszłego miesiąca zgromadził w Bari bardzo liczną publiczność.

Rogier Bongczi obrany prezesem, wygłosił na wstępie mowę, w której sławiąc Beatryczę podnosił znaczenie wpływów kobiety na społeczeństwo przez oddziaływanie jej siłą uczucia na uczucie mężczyzny. A niejeden to był głos budzący pamięć natchnionego wieszcza; uczony Carlo del Balzo wydał jako komentarz do dzieł jego zbiór wszystkich głosów z dziedziny poezyi o Dantym, wygłoszonych mową wiązaną, a jest tego moc wielka jak się pokazało i wytworzy to dzieło ogromne, bo autor jego opracowywa obecnie tom czwarty, mający obejmować około 2.500 stronic, a jest on dopiero w pierwszej połowie XVI wieku i podnosi zdanie stu dziewięćdziesiątego poety znawcy przepowiadają że będzie potrzeba jeszcze na pomieszczenie tego materyału ze szesnastu tomów i chyba nigdy dotąd studya takie o poecie nie ukazały się w literaturze. Rzecz nie będzie też przeznaczona dla ogółu czytelników i pomieści się głównie w bibliotekach.

Minister oświecenia, Gwidon Baccelli, pragnie ustanowić order za zasługi oddane literaturze i nauce, król zgadza się na to a instytucya to potrzebna dla podniesienia ruchu nie co do ilości, ale jakości tego, co się tu pisze i drukuje. Nowa ustawa prasowa, wcielona do praw państwa przez uchwałę parlamentu, położyła kres nieograniczonej niczem swobodzie prasy, która przekroczyła granice wszelkie w kierunku burzącym podstawy państwa; zamknięto też piętnaście czasopism, na co ludność wyżej oświecona i pragnąca szlachetnego postępu, szlachetnego ruchu umysłów nie skarży się bynajmniej. Pomnożyła się tu niesłychanie ilość pisarzów i ztąd nietylko drukuje się mnóstwo rzeczy małej wartości, ale nawet literaci wybitni schodzą nieraz tak nizko, że zrozumieć to i wysłowić trudno. W Medyolanie jakiś fabrykant perfum rozpisał konkurs z nagrodą stu lirów za nowelkę, któraby wysławiała zalety nowego

gatunku wody konwaliowej i nadesłano foliały zapisanego papieru, zwycięzcą stał się przecież pisarz pierwszorzędny i urzędnik państwa, senator. Paweł Mantegazza!... Dzienniki krzyknęły na skandal, ludzie pojmujący znaczenie godności literatury posmutnieli, a choć nieszczęśliwy tryumfator tłómaczył się przez dzienniki, że uczynił to w celu miłosiernym wsparcia pewnego młodzieńca, okazującego wyższy talent poetyczny, któremu chciał dopomódź do ukończenia studyów uniwersyteckich, ludzie brwi nie rozmarszczyli, bo można było rzecz uczynić z większem poszanowaniem godności swojej.

Fakt to bardzo niemiły, choć należy dodać, że literatura nie daje tu piszącym tego, co gdzieindziej. Publiczność włoska nie nauczyła się jeszcze pragnąć książki tak, jak to jest w krajach ościennych, bo pokolenie to niemal pierwsze, które się spotyka z szerszym w tym kierunku rozwojem, i we Włoszech jest obecnie dwóch tylko literatów, których książki rozchodzą się szeroko po kraju: Amicis i Verga. Amicis umie ludziom trafiać do uczucia, żołnierz niegdyś, opisuje sceny życia wojskowego a książka jego dla młodzieży: dla chłopców, którą znacie z przekładu, „Cuore“ (serce) wzruszając pociąga i tej wyszło tu już sto pięćdziesiąt wydań, co dowodzi, że jednak nie cała wina zastoju literatury spada na publiczność. Sam talent nie starczy jeszcze za wszystko; potrzeba obok tego pewnych przekonań, kierunków myśli, mających siłę, któraby zdołała, jak mówi nasz poeta, wstrząsnąć serce i zatargać... Jestto przecież tutaj błędne koło, bo Carducci, poeta wyższego talentu, o czem świadczą jego poezye a między innemi „Ode barbari,“ a którego królowa Małgorzata popierająca literaturę, darzy uznaniem wielkiem,—nie jest w dobrych interessach majątkowych, jak tego dowodzi fakt zajścia jego z poborcą podatkowym, który chciał dochód jego z pióra szacować na dwa tysiące lirów, a on rozgniewany ogłosił publicznie że pióro nie przynosi mu rocznie 200 lirów.

Ciężą tu jeszcze na ludziach nawyknienia przeszłości, są jednak rzeczy, na które i tu pieniądze znajdą się zawsze. Na placu San Pantaleo przed gmachem ministeryum spraw wewnętrznych mają wznieść wkrótce pomnik Minghettiego, dłuta rzeźbiarz Gangeri; przed pałacem sprawiedliwości stanie pomnik Cavoura, bardzo wspaniały, w bardzo szlachetnym stylu. Płaskorzeźby i grupy postaci, mające zdobić piedestał, już są odlane z bronzu; posąg tego wielkiego męża, któremu Włochy całe oddają cześć gorącą, wykutym będzie w marmurze dłutem rzeźbiarza Galleti. Zarząd miejski postanowił odsłonić pomnik w dwudziestą piątą rocznicę wejścia wojsk włoskich do Rzymu, to jest w d. 25 marca, w dzień Ś-go Joachima, który stał się od tego czasu głównym patronem Rzymu i nieobliczona jest tu ilość chłopców dostających imię to na chrzcie.

Do rzeczy dobrych i godnych wspomnienia zaliczyć tu należy odbyty w miesiącu przeszłym w Medyolanie międzynarodowy kongres filantropów, pragnących wzniesienia instytucyi, któraby zabezpieczała od następstw smutnych wypadków, jakim ulegają nie rzadko robotnicy przy pracy. Na ostatniem posiedzeniu brało w niem udział około 700 osób, następny kongres ma się odbyć w Bruxelli. Również w przeszłym miesiącu, w dniach jego pierwszych, nastąpiło tu otworzenie nanowo archiwum watykańskiego w przytomności kommissyi państw wielu, oraz uczonych z różnych krajów, umyślnie przybyłych do Rzymu na ten akt. Kardynał Aloizy Galimberti przewodniczył ceremonii, witając przybywających przedstawicieli kommissyi i powiódł wszystkich do przepysznej, nowo na ten cel przez Leona XIII urządzonej sali, gdzie winszował im tej rzeczy dobrej, iż pragną zużytkować na korzyść nowoczesnej wiedzy starożytne jej skarby. Ruch naukowy, badania przeszłości są ogólnie w Mieście Wiecznem bardzo znaczne. Professor Wirginiusz Prinzivalli ma wydać wkrótce ciekawe dzieło o pobycie Torkwata Tassa w Rzymie.

Trzeba przecież czuwać bardzo bacznie, aby ludzie dzisiejszej epoki nie zubożyli Włoch przez roztrwonienie skarbów przeszłości. Edykt, zabraniający wywożenia z kraju obrazów starych mistrzów, nie powstrzymał księcia Maffeo-Sciarra od pokątnego przemycania ich do Francyi. Starożytna ta rodzina książęca zubożała, położenie jej finansowe nie pozwalało utrzymywać się na dawnej stopie, a nie mając tej dostojnej odwagi, aby to, co jest koniecznością nieuniknioną, zostało przyjętem z godnością mężną, książe łamał cichaczem prawo, sprzedając do Francyi obrazy starożytnego pendzla; gdy przecież rzecz się odkryła, skazanym został za przekroczenie, które w sądach nazwano złamaniem wiary narodowi, na miesiąc wieży, pięć tysięcy lirów kary i półtora miliona lirów odszkodowania na rzecz pokrzywdzonego państwa. Sąd apelacyjny zmniejszył najpierw ogromną tę summę do 500.000 lirów, na założony przez księcia rekurs izba apelacyjna ze względu na zubożenie starego tego rodu, zniżyła karę do 1.800 lirów, Włochy zaś utraciły bezpowrotnie wspaniałe skarby przeszłości. „Skrzypek“ Rafaela jest obecnie własnością finansisty wiedeńskiego, H. Landau.

Zdaje mi się, że wspominałem wam w którymś liście moim w czasie lata o smutnym losie gołębi Ś-go Marka w Wenecyi, które gradowa burza zdziesiątkowała. Znaczna ich liczba wymarła potem, zapewne w skutek tego wypadku; lud wenecki utrzymuje przecież, że z żalu po zabitych i dziwnie smutny to widok, gdy widzi się obecnie małą już tylko ilość tych historycznych ptasząt, których mnóstwo utrzymywane kosztem miasta krążyło ponad starożytnemi jego gmachami, obsiadając setkami główny plac miasta. Ale czas to Saturu, który pożera dzieci swoje i przeszłość ukazuje nam tylko cienie tego co żyło, działało przed nami.

Do rzeczy, które drażnią tu znaczną liczbę ludzi, jest zapowiedziane przybycie Zoli do Rzymu, gdzie, jak się zwierzył jednemu z przyjaciół swoich, zamierza zbierać rysy do powieści, której tłem będzie Miasto Wieczne z jego pamiątkową przeszłością i odrodzoną cywilizacyą nowożytną. Według tego, co nam tu donoszą, Zola widzi w perspektywie swej wyobraźni cztery Rzymy: gród starożytny, gród średniowieczny, stolicę Papieży i miasto dziewiętnastego wieku. Pragnął on ujrzeć Leona XIII, ale lękał się tego czy przypuszczonym do Niego zostanie, skarżąc się że rozwinięto przeciwko niemu wrogą agitacyą, a jest dość zuchwałym, że wspomina tu ostatnią swoję powieść *Lourdes*, dodając iż do zamierzonej obecnie powieści wprowadzi kapłana, którego tam przedstawił. Zarysy tego nowego utworu ma już gotowe; czy przecież po powrocie z Rzymu pisać ją będzie tak, jakim jest obecnie plan który obmyślił? to pytanie.

W Bari odbyło się zgromadzenie czcicieli Danteg składające się ze wszystkich wyższych literatów i uczonych Włoch całych. W następnym liście szczegóły rzeczy wam podam.

August.

TO NIE TO, OJCZULKU.....

DROBNOSTKA SCENICZNA W 1-ej ODSŁONIE

przez

L. Ś.

OSOBY:

Malewska.
Helena jej córka.
Okrzycki.
Marychna jego córka.
Alfred.

(*Scena przedstawia salonik. Dwoje drzwi: w głębi i na prawo. Na lewo stolik z krzesełkami, na prawo kanapa, stoł i krzesła*)

SCENA I.

MALEWSKA siedząca na kanapie. HELENA siedząca na krzesełku. ALFRED oparty o poręcz krzesła.

Alfred. Ale to nie zmienia przecież naszego projektu.

Malewska. Owszem. Jeżeli dziś nie przyjadą, to nie możemy się jutro z domu wydalać; mogliby podczas naszej nieobecności nadjechać.

Alfred (*stojąc*). Szkoda, że to tak źle wypadło.

Helena. Ale za to Marychna przyjedzie.

Alfred (*siadając*). Czy pani tak kocha swoją kuzynkę?

Helena. Czy kocham? prawdę powiedziawszy, kochać jej nie mogę, bo mało ją znam bardzo, ale wiem, że to miła osóbka...

Malewska (*podchwytując*). I bardzo dobra (*bierze list na stole leżący i takowy przegląda*).

Alfred (*z lekką złośliwością*). Ze wsi, naturalnie, dobroć sama z arkadyjskiemi cnotami.

Helena (*z napomnieniem w głosie*). O to jakby pan zgadł. O ile wiem, idealna to panienka, więc cieszę się z jej przyjazdu.

Alfred (*żartobliwie*). O, i ja także, tylko wolałbym, żeby swój przyjazd była przyśpieszyła lub opóźniła.

Malewska (*złożywszy list na stole*). Nie troszczcie się: mój szwagier jest słowny, skoro więc pisze, że na dwudziestego przyjadą do Warszawy, to napewno możemy się ich dziś spodziewać, i projektowana wasza wycieczka nic na tem nie ucierpi.

Helena. I dobrze się złoży, że Marychna zwiedzi Wilanów (*słychać dzwonek*).

Malewska. Ręczę, że oni.

Alfred (*patrząc na zegarek*). Niepodobna. Chybaby rannym wyjechali pociągiem (*z lekką ironią*). A może... wiejskie skowronki...

Helena (*kierując się ku drzwiom w głębi*). To pewne, że nie miejskie śpiochy (*Alfred powstaje*).

SCENA II.

CIŻ, OKRZYCKI, MARYCHNA.

Okrzycki (*za sceną*). Są panie, bardzo pięknie (*wchodząc drzwiami w głębi*). Pochwalony Jezus Chrystus! (*idzie z roztwartemi ramiony ku Malewskiej. Marychna wita się z Helenką. Alfred przygląda się z boku, pokręcając skromny wąsik. Malewska podnosi się i podchodzi naprzeciwko Okrzyckiego*). Kopę lat nie widzieliśmy się z panią siostrą, kopę lat, naprawdę. (*przyglądając się jej, całując ją w ramię i w rękę*) Ale siostrunia dobrodziejka ślicznie mi zawsze wygląda.

Malewska. Witamy, witamy kochanego brata.

Okrzycki (*oglądając się*). A Helunia?

Helena (*podchodząc i witając się*). Witam kochanego wujaszka (*Marychna wita się z Malewską*).

Okrzycki (*całując ją i przyglądając się*). Jakże się miewasz, moje dziecko drogie? Jak dwie krople podobna do ojca.

Malewska. Pozwól, panie bracie, przedstawić sobie pana Soleckiego.

Okrzycki (*ściskając Alfreda za rękę*). Bardzo mi przyjemnie (*Alfred oddaje głęboki elegancki ukłon, podchodzi ku pannom, Helenka przedstawia go Marychnie, zdejmuje jej kapelusz, zasiadają przy stoliczku i zaczynają żywą rozmowę*).

Malewska. Spocznijże, panie bracie, proszę bardzo (*siada na kanapie*).

Okrzycki (*siadając na fotelu*). Z przyjemnością, z przyjemnością, bom się dyabelnie zmęczył.

Malewska. No, naturalnie: musieliście wstać bardzo rano.

Okrzycki. E, co za rano! już po szóstej wyjechaliśmy z domu.

Malewska. Bagatela!

Okrzycki. A cóż to znaczy? To jazda w wagonie tak mnie zmęczyła. Co to, proszę państwa: zamkną człowieka jak w klatce i duś się dopiero. Chcę otworzyć okno z jednej strony: bolą zęby sąsiadkę, chcę otworzyć z drugiej: komuś znów wieje. A niech was nie znam! Gdyby przyszło dłużej jechać, udusiłbym się na pewniaka. To krety nie ludzie jeżdżą kolejami. Ale co to człowiek dla dziecka nie zrobi! Boć dla niej tylko się tu przywlokłem, by ją polecić opiece zacnej siostruni (*ściska Malewską za rękę*). Pleśnieje to na wsi, nudzi się, bo, co prawda, ani towarzystwa ani rozrywki w domu nie ma. U nas praca tylko, a dla młodej dziewczyny i zabawy potrzeba także. Zaczęła kapcanieć, więc umyśliłem sobie—

w świat ją pchnąć trochę, a wiedząc, że jej tu będzie najlepiej, ośmieliłem się ją wam na kark zwalić.

Malewska. Dziękujemy serdecznie za zaufanie i postaramy się, by jej tu dobrze było.

Okrzycki. Odżyje tu może, nabierze humoru, boć w mieście zawsze wesoło... (*rozmawiają dalej wciąż pocichu*).

Alfred (*do oglądającej album Marychny*). Nie podoba się pani ten rodzaj?

Marychna. Wcale nie. Coś w tem nienaturalnego.

Alfred. Pani wychowana na łonie natury lubi prostotę.

Marychna (*wkazując na inną fotografią*). O widzi pan jaki to swobodny układ, no, i twarz niezwykle szlachetna: musi to być bardzo dobra osoba.

Alfred. Widzę, że z pani fizyognomistka.

Helena (*spojrzawszy na fotografią*). I to doskonała fizyognomistka, gdyż istotnie jest to osóbka bez zarzutu.

Alfred (*wyjmując fotografią z kieszeni i podając Marychnie*). A o tej fotografii co nam też pani powie?

Helena (*spojrzawszy na nową fotografią*). O tym, okazie? (*Marychna składa album, bierze fotografią od Alfreda*).

Marychna (*przyglądając się fotografii*). Istotnie jest to okaz, o którym trudno coś orzec.

Alfred. Jakto, pani, fizyognomistka, nie ma nic do powiedzenia?

Marychna. Przedewszystkiem, nie jestem fizyognomistką z professyi, a następnie ten okaz, jak Helunia mówi, nie posiada fizyognomii.

Alfred. To już zbyt złośliwa krytyka.

Marychna. Złośliwa? Bynajmniej. Wypowiadam tylko wrażenie, jakie ta twarz robi na mnie (*zwraca fotografią Alfredowi*).

Helena. Tak łaskawie obeszła się Marychna z tą fotografią, że tylko podziwiać można jej pobłażliwość.

Alfred. A gdyby panią o sąd w tym względzie zapytano? (*chowa fotografią do kieszeni*).

Helena. Orzekłabym, że to fizyognomia idyoty.

Alfred. Oh, *c'est trop fort.*

Helena. Ani odrobiny.

Marychna. Widzę, że państwo mieszacie do swych opinii osobiste sympatye i antypatye.

Helena. Fizyognomia to tak na fotografii, jak i w naturze, sympatyi ani antypatyi rozbudzić nie może.

Alfred. Coraz lepiej (*wstaje—chodzi*).

Helena. Czy nie prawda? Zresztą osądzi to Marychna sama, bo zdaje się, że ta osoba należy do naszej kompanii (*zwracając się do Marychny*), Projektujemy na jutro wycieczkę do Wilanowa. Nie znasz pewno Wilanowa.

Alfred. E, dla pani, na wsi wychowanej, tego rodzaju wycieczki nie mają zapewne powabu.

Marychna. O, owszem. Wilanów, to nie zwyczajna przecież siedziba wiejska, a wspaniała rezydencya z zabytkami przeszłości, które radabym bardzo zobaczyć.

Alfred (*nieco zdziwiony*). Panią zajmują rzeczy tego rodzaju?

Marychna. Czy to pana dziwi?

Alfred. Przypuszczałem, że prędzej rzeczy doby bieżącej, interessują panią, teatr np., mody...

Marychna. O, co do ostatniego punktu, to już zupełną jestem profanką. U nas, na wsi, nie mamy czasu, zamiłowania ani gustu do tego.

Alfred (*z lekką ironią*). Na wsi żyje się poezyą natury...

Marychna. E, gdzietam, panie! Prozą, bardzo ordynarną prozą, karmić się musimy.

Alfred (*w dalszym ciągu*). Ptaszki, kwiatki, wschód słońca...

Marychna (*w dalszym ciągu*). Nieurodzaj, grad, pomór bydła...

Alfred (*j. w.*). A cóż panią takie rzeczy obchodzić mogą?

Marychna (*wytrzymawszy go wzrokiem*). Obchodzą mnie o tyle, o ile obchodzą one ojca mego (*Alfred skonfundowany*).

Helena. Bo trzeba panu wiedzieć, że z Marychny cała gospodyni.

Marychna. E, jaka to tam gospodyni!

Helena. O, wiemy dobrze. Wujek pisał w zeszłym roku, żeś przez całe dwa miesiące gospodarowała sama.

Marychna. No, naturalnie robiłam, co mogłam podczas nieobecności cioci, ale daleko mi jeszcze do prawdziwej gospodyni.

Alfred (*siadając*). Gospodarstwo wiejskie tyle ma uroku...

Marychna (*podchwytując*). Naprzykład robienie masła i tuczenie trzody.

Alfred. Czemuż pani zaraz takie trywialne wybiera zajęcia?

Marychna. Bo one są właśnie podstawą gospodarstwa wiejskiego, a pan, o ile widzę, wsi nie zna wcale.

Alfred. O przepraszam, znam...

Helena (*podchwytując*). Z okien wagonu.

Alfred. A zaraz złośliwość.

Helena (*kończąc*). No, i z obrazków.

Marychna. No, to mnie nie dziwi, że pan sobie przedstawia wieś, jako krainę wszelkiej szczęśliwości.

Alfred (*żywo*). A pani czuje się nieszczęśliwą na wsi?

Marychna. Przeciwnie: bardzo się czuję szczęśliwą i mimo wielu jej stron ujemnych kocham swoję wioskę, ale jej nie idealizuję.

Alfred. Taka młoda osoba i tak trzeźwo patrzy? (*Okrzycki zwraca uwagę na rozmowę młodych i przysłuchuje się*).

Marychna. Tak panie.

Helena. E, moi państwo zeszli na polemikę, a Marychna przyjechała, by się tu rozerwać...

Okrzycki. A o czemże to tak państwo radzicie?

Alfred. Słuchamy wykładu panny Maryi o gospodarstwie wiejskiem.

Okrzycki (*z zainteressowaniem*). To łaskawy pan tak lubi gospodarstwo wiejskie?

Alfred (*nieco zaambarasowany*). To jest, właściwie, niewiele się znam na tem.

Helena (*śmiejąc się*). Chyba jeszcze mniej, niż niewiele.

Okrzycki. A może pan myśliwy?

Helena (*j. w., półgłosem*). Z półmiska.

Alfred. Tak, niestety, z półmiska tylko.

Okrzycki. To lepiej. Panowie z miasta to wielcy fuszerzy w tym względzie. Dziś zresztą tyle jest stowarzyszeń sportowych w mieście, że każdy warszawiak na miejscu znajdzie rozrywkę. Ręczę, że łaskawy pan do cyklistów należy.

Alfred. I to nie.

Okrzycki. O to pan ma racyą; dyabelski to wynalazek. W zeszłym roku paczka tych kołowatych pędziwiatrów, całe stado gęsi zestraszyła mi z pola i o milę zaledwie je znaleziono (*wszyscy się śmieją*).

Malewska. Braciszek dobrodziej, zawzięty, widzę, przeciwnik sportsmenów.

Okrzycki. Bynajmniej: tylko lubię racyonalność. Rozumiem myśliwego, który się za zwierzyną ugania, ale cyklisty, który znajduje przyjemność w ciągłem przebieraniu nogami—nie rozumiem wcale. A jak pociesznie wyglądają, a zzjajane to, zmachane, Boże mój! (*machnąwszy ręką*). Licha warte te wszystkie sporty.

Helena. O, niechże wujaszek nie potępia tak hurtownie, bo i pan Alfred uprawia sport także.

Okrzycki. A jaki z przeproszeniem?

Helena. Sport zbierania marek.

Okrzycki. Jakich marek?

Alfred. Pocztowych.

Okrzycki. No, to chyba najniewinniejszy sport w świecie, tylko ja-bym się i na niego nie pisał.

Malewska. Dlaczego?

Okrzycki. Ano, bo trzeba rozległą prowadzić korrespondencyą, by zebrać jakąś kollekcyą, to się rozumie: trzeba dużo listów pisać, a ten ostatni sport, to już najmniej mi się podoba.

Helena. O, to wielka przyjemność odbierać listy.

Okrzycki. I odpisywać na nie?

Helena. I to także.

Okrzycki. O, to pisuj-że jak najwięcej, byleby nie do mnie, moja Heluniu.

Helena (*żartobliwie*). A to wujaszek uprzejmy.

Marychna. Bo dla ojczulka pisanie listu prawdziwą jest pokutą.

Alfred (*do Marychny*). Wracając do naszej dysputy, niechże pani będzie łaskawą odsłonić mi owe złe strony wsi...

Malewska. Dajcież pokój! Wsi i gospodarstwa Marychna ma w domu dostatek...

Helena. To pan Alfred tak wyciąga Marychnę na słówka.

Malewska. A niewiele pewno z tego zrozumie.

Alfred. A to się dziś dostałem w opały!

Okrzycki. To i w Warszawie, jak widzę, trudna sprawa z paniami.

Alfred. To też liczyłem na łaskawość panny Maryi.

Helena. Ale i tu się pan zawiódł, niestety! Jakże pana żałuję!

Alfred. O Boże! ile w tem prawdy.

Marychna. To pan nie wierzy we współczucie mojej kuzynki?

Alfred (*z gestem*). Pani jeszcze nie zna swojej kuzynki.

Helena. Ładnie mnie pan przedstawia. Marychna gotowa zaraz uciec z powrotem.

Alfred. Widzę, że mnie przedewszystkiem uciekać potrzeba, bo brnę coraz bardziej i, jak w porę nie zemknę, mogę przepaść z kretesem (*wstaje szuka kapelusza*).

Helena. Dezerter.

Okrzycki. Tak, panie, tak, wobec pań zawsze nam kapitulować przychodzi. Pociesz się pan, że to uniwersalne prawo.

Alfred (*z kapeluszem w ręku*). Jedyna to, choć słaba pociecha. Więc do jutra. Punkt zborny, według umowy, tutaj, godzina dziewiąta.

Helena (*z przycinkiem*). Jeżeli zdążymy się wszyscy wybrać.

Okrzycki (*zdziwiony*). Na dziewiątą? Drugie śniadanie zwykle o tym czasie jadam.

Alfred (*d. s. ze zdziwieniem*). Drugie śniadanie o dziewiątej! (*do wszystkich*). A zatem stawimy się na czas (*całując Malewską w rękę*) wbrew wszelkim złośliwym przypuszczeniom i byleby nam pogoda dopisała—ruszymy w drogę (*ukłony, uściśnienia rąk, poczem wychodzi drzwiami w głębi*).

Malewska (*do córki*). Ale zakrzątnij-no się, Heluniu, żeby prędzej podano obiad, bo wujaszek dobrze musi być wygłodzony. (*Helenka wychodzi bocznemi drzwiami*).

Okrzycki. O niech się siostra dobrodziejka nie troszczy; popasaliśmy w drodze.

Marychna. Przytem w podróży niema apetytu.

Okrzycki. Ty i w domu apetytu nie masz.

Malewska. A mimo to doskonale wygląda. Ale może się rozgościcie tymczasem; zajrzę do waszych pokoi i zaraz służę (*wychodzi bocznemi drzwiami*).

SCENA III.

OKRZYCKI, MARYCHNA.

Okrzycki. Cóż? podoba ci się tutaj?

Marychna. Tak sobie.

Okrzycki. Jakaż to odpowiedź? Tak sobie, to ni to, ni owo (*podchodząc ku niej*). Przecież tu Warszawa, dom twojej ciotki, Helunia miła bardzo dziewczyna i zdaje się będziecie ze sobą pasowały; przytem gości tu pewno zawsze dostatek, więc zabawisz się, rozruszasz... No, cóż?

Marychna (*powstając*). No, nic, ojczulku.

Okrzycki. Jakto nic? Nie podoba ci się tu?

Marychna. Ale nie, owszem.

Okrzycki (*zniecierpliwiony*). Nie, i owszem. Bardzom z tego mądry. To ja cię na to tyle mil wiozłem, by to samo, co i w domu usłyszeć? Wiesz dziewczyno, że ty mnie zamartwisz. Wiecznie niekontenta...

Marychna. Już ja będę kontenta, ojczulku.

Okrzycki. Tak, na obstalunek będziesz kontenta, dziękuję ci za to. Istne utrapienie. Wolałbym dziesięciu chłopaków, niż jednę taką dziewuchę, co nie wie czego pragnie (*chodzi*).

Marychna. Kiedy ja niczego nie pragnę.

Okrzycki (*przystanąwszy*). A może ty się obawiasz pozostać tu sama?

Marychna. To nie, ojczulku...

Okrzycki (*po chwili namysłu*). Aha! jestem w domu. O stroje ci idzie (*szukając pugilaresu*). Bodajże cię, na śmierć zapomniałem, że gałganki to grunt dziś dla każdej panny (*wyjmując pugilares*). Nie kłopocz się, jeszcze starczy dla ciebie na fatałaszki (*wyjmując pieniądze, podaje jej*).

Marychna (*wstrzymując go*). To nie to, ojczulku...

Okrzycki (*niecierpliwie*). Cóż więc u Boga Ojca? Bój się Boga, dziewczyno, bom gotów zwaryować. Przywiozłem cię tu na to przecież, byś się rozerwała, bo rozumiem, że ci tam nudno ze starym ojcem i ze starą ciotką, a ty mi śpiewasz tosamo, co i w domu. To nie to, więc co? (*łagodniej*). Powiedz, może znajdę jaką radę, bo mnie strasznie twoje usposobienie gnębi. Dawniej, jak ptaszę napełniałaś dom cały radością; dziś chodzisz wciąż smutna, zamyślona (*cieplej*). Co tobie? Powiedz, dziecko moje. Może ci co dolega, możeś ty chora? Tyle lat zastępowałem ci—matkę, toć i teraz może ci pomogę, tylko miej zaufanie do mnie. Nie umiem wprawdzie tak przemówić, jak matka, ale wiesz przecie, że cię kocham, tylko zaufaj mi i powierz mi swoje zmartwienie.

Marychna (*coraz smutniej*). Kiedy ja, ojczulku, żadnego nie mam zmartwienia, tylko taka już jestem.

Okrzycki (*porywczo*). A co, nie mówiłem, że to ślamazarstwo, a ten głupi Antek chciał ją za żonę. Ja mu też powiedziałem...

Marychna (*żywo przerywając*). Co mu ojczulek powiedział?...

Okrzycki (*uderzony jej zainteressowaniem się*). Ano powiedziałem, żeś nie na żonę (*patrząc na nią z pod oka i udając, że nie widzi jej zainteressowania się*). A co tobie po tem? Ani on cię ziębi ani też grzeje (*machnąwszy ręką chodzi*). Zresztą niema czem sobie głowy zawracać. Niech on sobie tam płacze, kiedy taki głupi. Trudno przecież, żebyś (*przystaje*) poświęcała się dla niego (*Marychna, która coraz smutniej chyliła główkę, oparłszy ją, teraz, o ramię ojca, głośnym wybucha płaczem*) i wbrew przekonaniu... (*tuląc ją*). No, no, co znowu? A to tak ufasz ojcu, niepoczciwa? A zkądże ja stary domyślić się mogłem, co się święci? To nie to ojczulku, to nie to, a to, to, że jej Antek wpadł w oko. A biedny chłopak, aż płakał, gdym mu ten affekt chciał wytłómaczyć (*tuląc płaczącą*). No, no, cicho. I po co ja cię tyle mil wiozłem, kiedyś ty tam serduszko zostawiła? Ot dwoje dudków: jedno tam beczy, drugie tu beczy. To się dobrali. A niech was! (*po chwili*). No, to nie mamy tu co robić. Musimy tę rzecz ciotce wytłómaczyć—chodź-że (*ciągnie ją do bocznych drzwi*). To bieda z dzieciakami (*wychodzą, zasłona spada*).

K O N I E C

Kronika działalności kobiecej.

— W Listopadzie upływa lat trzydzieści od dopuszczenia w Rossyi kobiet do rządowej służby w biurach telegraficznych. W 1864 r. przyjęto po raz pierwszy do obsługi telegrafu w Petersburgu cztery kobiety, w roku następnym było ich już w różnych miejscowościach państwa dziewięćdziesiąt telegrafistek, których liczba zwiększała się, lub zmniejszała według okoliczności, niemniej gałąź ta pracy została już otwartą dla kobiety. W 1883 r. wyznaczono im pensye ze skarbu jako urzędniczkom w służbie państwowej, w 1888 r. nadano im prawo do emerytury. Największa liczba telegrafistek znajduje się w Petersburgu w głównem biurze telegrafów; w roku ubiegłym było ich tam 482.

— Założycielka przytułku chłopców sierot przy ulicy Zielnej, hr. Zamoyska z Kronenbergów zwiedzając ten zakład, zostający pod opieką i zarządem Wars. Tow. Dobroczynności a mieszczący się przy ulicy Zielnej, przeznaczyła na jego utrzymanie w roku przyszłym 1.000 rs., ofiarując obok tego dziesięć kołder. W przytułku chłopców mieści się ich 192, w przytułku dziewcząt 127.

— W d. 17 zeszłego miesiąca przy akcie uroczystym poświęcenia nowego lokalu 32-giej ochrony na Nowej Pradze znajdowały się opiekunki: doktorowa Lasocka, Izabella Szustrowa, Elżbieta Jurska, Justyna Rapaportowa, Helena Pęska. Dozorczyniami ochrony są p. p. Bronisława Robakiewiczowa i Zofia Skorotkiewiczowa.

— Wykonywając zapis ś. p. Maryi Taubowej, Rada miejska dobroczynności publicznej przyznała ubogiemu szewcowi wyznania rzymsko-katolickiego, Rochowi Nowakowskiemu, 85 rs. Wsparcie pochodzące z tegoż zapisu dla ubogiego kupca wyznania rzymsko-katolickiego w kwocie 75 rs., pozostawiono, w braku odpowiedniego kandydata, do rozporządzenia Rady miejskiej w 1895 r.

— W d. 24 zeszłego miesiąca odbył się akt poświęcenia nowego lokalu szkoły panien, zostającej pod kierunkiem p. Heleny Tokarzewskiej (ulica Hortensya N-r 7), a gdzie obok innych przedmiotów uczennice kształcą się przeważnie w rysunku i malarstwie z zakresu sztuki czystej i stosowanej do przemysłu pod kierunkiem malarzy: p. p. Rodeckiego i Br. Wiśniewskiego. Szkoła p. Tokarzewskiej mieści tak przychodnie, jak i pensyonarki, które znajdują tu najlepszy kierunek wychowawczy, oddziaływanie wpływów szlachetnie pojmowanego życia i zarazem opiekę iście macierzyńską pod względem wszelkim.

— P. Bronisława Poświkowa wykończa obecnie w pracowni swojej trzy gobeliny dość dużych rozmiarów, do których treść zaczerpniętą została z wdzięcznie pięknej „Legendy o Matce Boskiej“.

— P. Marya Borkowska otworzyła dla kobiet szkołę fotografii z kursem o dwóch oddziałach, z tych jeden obejmuje retuszowanie na szkle i papierze, kolorowanie fotografii i heliominiatur, drugi — rysunek, malowanie na porcelanie, drzewie i tym podobnych przedmiotach. Kurs całkowity w pierwszym oddziale, fotograficznym, trwa pięć miesięcy, opłata 8 rs. miesięcznie.

— Z początkiem Listopada rozpoczęły się w Muzeum rzemiosł kursa specyalne dla osób zajmujących się malowaniem na tkaninach, porcelanie, szkle, kości, drzewie, płótnie gobelinowem i innych materyach; osoby pracujące w zakresie sztuki stosowanej mogą studyować w salach na ten cel przeznaczonych codziennie od godziny dziesiątej z rana do pierwszej po południu za opłatą 5 rs. miesięcznie. Przewodniczącą w oddziale sztuki stosowanej jest p. Mirosławska, której zadaniem jest udzielać tu wszystkich wskazówek i i objaśnień.

— Szkoła fryzyerek ma powstać w mieście naszem z inicyatywy p. Lenczewskiego, który jednocześnie zwrócił się do urzędu starszych cechu fryzyerskiego z żądaniem, aby wykwalifikowane uczennice do szkoły były przyjmowane, a po wykazaniu odpowiedniego uzdolnienia otrzymywały świadectwa, wskutek których stawałyby się czeladniczkami.

— Zbyt płótna tkanego na krosnach ręcznych idzie bardzo dobrze w Bazarze rzemieślniczym. Gatunki jego średnie nie ustępują w niczem płótnom, wyrabianym w maszynach; produkcya tego wyrobu tak się zwiększa coraz, że delegacya specyalna w zakresie przemysłu domowego zajęła się środkami rozszerzenia zbytu tego towaru, tak w Warszawie, jak i w miastach prowincyonalnych. Trwałość jego przemawiać tu powinna.

— Ważna gałąź wiejskiego gospodarstwa kobiecego, produkcya nabiału, ma przed sobą możność rozszerzenia środków zbytu przez zaprowadzenie na kolei terespolskiej wagonów, urządzonych specyalnie z celem przewozu mleka i jego przetworów. Producenci będą jedynie potrzebowali dostawiać w oznaczonej porze swój towar; odbiorca specyalnie do tego przeznaczony przyjmie go i umieści w wagonach, zapisując w przeznaczonej książce, co otrzymał, a nabywcy dadzą mu odpowiednie pokwitowanie. Rachunki wzajemne wraz z opłatą za przewóz będą regulowane później. Kilka znaczniejszych gospodarstw w okolicach Siedlec, Białej już przystąpiło do tego przedsiębierstwa, które powinno rozwijać się pomyślnie. Sklep spożywczy kolei terespolskiej i wiele gospód na Pradze już weszło w ugodę z producentami; początkowo kursować będą dwa wagony nabiałowe, przecież w miarę zapotrzebowań dodanem zostanie trzeci. Lekarze uważają, iż mleko z dalszych okolic lesistych, gdzie powietrze jest świeższe a roślinność bogatsza w warunki hygieniczne, posiada wyższe przymioty pożywności.

— Na konkursie farmaceutycznym w Bruxelli z zadaniem odnalezienia wszelkich dodatków fałszujących artykuły spożywcze, otrzymała nagrodę pierwszą młoda panna Estera Carpentier. Do referatów piśmiennych dołączyła 90 rysunków oryginalnych i preparatów mikroskopowych, a nie jest ona pierwszą aptekarką w Belgii. W Bruxelli pięć wielkich aptek obsługują wyłącznie kobiety, jak i pięć aptek w Gandawie, a są jeszcze takie apteki w Liège, Verviers, Charleroi i w wielu innych miastach Belgii. Że wywiązują się one dobrze z zadania swego, Francya zaczyna to naśladować, i w Paryżu jest już jedna apteka taka, oraz w Tuluzie. W 1891 r. liczyła Anglia 1.340 aptekarek, Hollandya 331, a dodać należy, że jest tam niewiele więcej, bo 414 mężczyzn zajętych wtym zawodzie. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej utworzył się związek aptekarek, liczący 523 członków czynnych a 186 honorowych, i w sferach mogących sądzić te rzeczy odzywają się głosy, że kobieta może się tu wywiązać bardzo dobrze z zadania. Professor Depaire, uczony toxykolog w uniwersytecie w Bruxelli twierdzi, że egzamina kobiet aptekarskie nie zostawiają nic do życzenia, i że obsługa aptek przez kobiety przedstawiałaby dobry postęp.

— W Banku Anglii pracuje wiele kobiet i odpowiada tak dobrze zadaniom służbowych obowiązków swoich, że dyrektorowie oddziałów zamierzają powiększać ich liczbę, coby stać się musiało przyczyną odsunięcia tu mężczyzn i podnoszą się też w dziennikach głosy: czy rzecz taka wyszłaby na korzyść ogółu?

— Dwie studentki uniwersytetu w Glasgowie otrzymały stopień doktorów medycyny, pierwszy raz przyznany kobietom w państwie Wielkiej Brytanii. Obie młode panny, Marion Bothwell i Alicya Cumming odbyły studya w kollegium królowej Małgorzaty „Queen Margaret College“, które założone w 1877 r. pierwsze otworzyło podwoje swoje kobietom. Po akcie udzielenia stopni studenci winszowali entuzyastycznie koleżankom swoim tego tryumfu, a jeden zpośród nich wypowiedział piękną mowę, w której wykazywał, że wyższa oświata nie staje nigdy na zawadzie obowiązkom, jakie mamy do spełnienia, i nie sprzecza się z żadną pracą użyteczną. Irlandya pierwsza w państwie Wielkiej Brytanii przypuściła kobiety do studyów uniwersyteckich w Dublinie.

— Ameryka liczy obecnie 2.011 kobiet lekarek, zpośród tych 610 obrało sobie choroby kobiece jako specyalność swoję. Reszta oddaje się ogólnej praktyce, głównie w miejscowościach oddalonych od miast wielkich, stając się przeto więcej użytecznemi.

— Cesarzowa chińska, matka, nie przyjęła owacyjnego obchodu jej sześćdziesięcioletniej rocznicy urodzin, jaką naród i dwór chciał uczynić uroczystością wspaniałą, żądając, aby fundusze, które na ten cel miały być użyte, zostały przesłane do głównej kassy armii w Pekinie, która zbogaci się w ten sposób ogromnym kapitałem odpowiadającym dwóm milionom angielskich funtów sterlingów.

Z bieżącej chwili.

— Projekt bezpośredniego połączenia Rossyi z Ameryką zbudził się w umysłach wobec budującej się obecnie kolei syberyjskiej, a to przez zbudowanie linii kolejowej z Chicago do Alaski, któraby była przedłużeniem istniejącej już kolei Nowy York-Chicago. Gdy już wykończoną będzie linia Władywostok—Petersburg, pozostanie jeszcze przestrzeń od Alaski do Władywostoku, którą wypełnia cieśnina Beringa, łącząca morze Beringa z północnem morzem Lodowatem. Obok tego cieśnina ta łączy północny zachód Ameryki z północnym wschodem Azyi a zatem Amerykę z Rossyą. Cieśnina w największem zwężeniu swojem ma 72 do 80 kilometrów szerokości i mógłby być zbudowanym most kolejowy, albo przebity tunel, coby było rzeczą praktyczniejszą do wykonania i gdyby projekt ten był wykonanym, a rzecz jest możliwą, odbyćby było można podróż z Ameryki do Rossyi i na odwrót koleją, nie narażając się na podróż morską

— Gazety petersburskie piszą na podstawie informacyi urzędowej agenta handlowego przy ministeryum finansów w Waszyngtonie, że wobec zerwania stosunków handlowych Brazylii ze Stanami Zjednoczonemi wskutek zaprowadzenia w Ameryce Północnej taryfy celnej, zbyt towarów russkich do Brazylii byłby możliwym.

— W dniu Wszystkich Świętych przypadała czterdziesto pięcioletnia rocznica poświęcenia kościoła Ś-go Karola Boromeusza, uroczystość ta zgromadziła też tak liczną publiczność, że obszerna świątynia pomieścić nie mogła tych tłumów. Szczególniej na nabożeństwie nieszpornem, któremu przewodniczył arcybiskup Popiel, pobożni zapełniali plac i część wirydaża przed kościołem. W dniu tym w kościele po-kapucyńskim odbył się akt poświęcenia chorągwi zgromadzenia introligatorów warszawskich. Na Powązki pośpieszyło po południu przeszło czterdzieści tysięcy ludzi a światła na grobach rzucały łunę jasną.

— W katedrze sandomierskiej znajdujące się organy mają przeszło lat trzysta, gdyż były zbudowane w 1697 r. Obecnie zostaną wyrestaurowane kosztem parafian.

— Architekt belgijski, rodem z Warszawy, Bronisław Kiel, obmyślił sposób budowania domów przenośnych, składających się z trzech pokoi i kuchni. Mają one być drewniane, ale nasycone płynem, który je zabezpiecza od ognia i czyni lekkiemi. Cały dom taki może być po rozebraniu go na części przewiezionym na trzech wozach przy pomocy dziesięciu ludzi, i ustawionym w miejscu obranem, a ustawienie go zajmie nie więcej czasu nad godzin pięć, ro ebranie odbędzie się w półtory godziny. Domek taki służyć przecież może tylko na mieszkanie letnie, zamiast fundamentów ma pod sobą okrągłą platformę drewnianą a zagłębia się w ziemię za pośrednictwem żelaznych haków. Wynalazca dokonał w przeszłym miesiącu próby ustawienia i rozebrania takiego domku, którego zbudowanie kosztuje 800 rs.

— Wznowione zostały narady w przedmiocie spółki spożywczej na zasadach innych, niżeli stowarzyszenia „Merkury.“ P.p. Wróblewski i Orczyński zostali zaproszeni do ułożenia warunków kontraktu spółki, która według umowy powinna posiadać 10.000 rs. kapitału, składającego się ze stu udziałów, z tem przecież zastrzeżeniem, że nie wolno jest nikomu posiadać ich więcej, niżeli dwa. Celem spółki jest nabywanie materyałów spożywczych po cenach hurtowych, tak dla trzymania ich we własnym sklepie, jak i dla wyjednania dla nabywających je rabatu, w co wchodzą oprócz wymienionych produktów spożywczych, rozmaite inne przedmioty, jak odzież, bielizna, obuwie i rozmaite utensylia potrzebne w gospodarstwie domowem. Rabat, jaki zarząd chce wyjednać dla stowarzyszonych, przedstawiałby 50%. Projekt kontraktu spółki będzie przedstawionym wkrótce kandydatom na uczestników.

— Urządzonym ma być przez Towarzystwo ogrodnicze konkurs w zakresie hodowli kwiatów pokojowych, w którym brać mogą udział wszyscy członkowie Towarzystwa, ci nawet, którzy nie są ogrodnikami, a których Towarzystwo liczy przeszło pięciuset. Każdy uczestnik konkursu otrzyma trzy rośliny wybrane przez Towarzystwo, a mianowicie: palmę (Kentia) paproć (Asplemum) i fuksyą, a wszystkie te okazy pochodzą z jednego zakładu ogrodniczego, są jednakowo wyrosłe i nie będą wymagały przesadzenia przynajmniej przez pół roku. Sekcya ułożyła szereg zapytań co do hodowli tych roślin i każdy z przyjmujących je powinien dać tu odpowiedź. Przygotowano takich okazów 30 z każdego gatunku, a zapisało się już do konkursu osób kilkanaście, zapisy trwać mają do 15 listopada najdłużej; rośliny rozsyłane będą do mieszkań osób, które wzięły tu udział.

— Księgarnia nakładowa Konstantego Trepte ma ogłosić konkurs na utwory muzyczne.

— Z Amsterdamu przesłano do Lwowa programy, plany i wzory deklaracyi na zapowiedzianą tam wystawę wszechświatową przyborów podróżnych i urządzeń hotelowych. Wystawa odbędzie się pod protektoratem królowej regentki z trwaniem od maja do listopada przyszłego roku; wszystkie okazy będą rozmieszczone w grupach, grupy w klassach, bez podziału na narodowości. Deklaracye powinny być nadsyłane najpóźniej do 15 listopada pod adresem kommissyi organizacyjnej.

— W sprawie wzniesienia we Lwowie budynku nowego teatru zwołanem zostało posiedzenie Rady miejskiej. Teatr stanie niewątpliwie na placu Gołuchowskiego, obok gmachu teatralnego, miasto przeznacza na koszta budowy 700.000, zł. reń. spodziewaną jest obok tego subwencya wydziału krajowego w kwocie 400.000 zł. reń. Występy Modrzejowskiej ściągają liczną publiczność. Pierwszy jej występ w sztuce „Dama kameliowa“ nie wypadł przecież tak świetnie jak następny w „Maryi Stuart,“ „Lady Macbet“ i „Mazepie.“

— W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca hr. Władysław Zamoyski, właściciel Zakopanego, otrzymał pozew od ks. Hohenlohe o naruszenie jego posiadłości. Rzecz ta odnosi się do zburzenia drewnianej szopy, którą służba księcia czy za jego rozkazem, lub też samowolnie wznosiła kilkakrotnie na terytoryum hrabiego, należącem do Zakopanego. Kwestya to jest sporu o własność gruntu przy Morskiem Oku, wskutek którego Hohenlohe zapozwał hrabiego, sprawa będzie się rozgrywać przed sądem w Nowym Sączu. W Wiedniu w poselskiem kole polskiem rzecz ta była właśnie traktowaną. Poseł Wielowiejski wzniósł interpellacyą wykazując, że postępowanie strony przeciwnej rozdrażnia górali; minister Jaworski przedstawił zgromadzonym stan tej rzeczy. Pomiary geometrów są już ukończone i przesłane do ministeryum i referent tak austryacki, jak węgierski, wzięli urlop, aby zyskać czas pozwalający na dokładne rzeczy zbadanie. W miesiącu lutym przyszłego roku 1895 odbędzie się konferencya tych ministrów, wskutek której nastąpi ugoda polubowna, lub apelacya do sądu rozjemczego. Przecież poseł Rutowski podniósł głos dowodząc, że rzecz jest zbyteczną, że ministeryum traktuje sprawę za powolnie, za miękko i zwrócił się do ministra Jaworskiego, aby opiekował się troskliwie tą sprawą, na co przecież poseł Weigel biorąc rzecz z punktu prawnego, dodał, że Galicya faktycznie posiada grunt zakwestyonowany, że zatem nie tłómaczyć się tu z tego powinna, ale strona przeciwna potrzebuje jej przedstawić dowody przemawiające za jej wnioskami. Rząd węgierski tłómaczy się przecież, że zbiór dokumentów dotyczących się sporu o Morskie Oko zaginął w ministeryum wiedeńskiem w 1848 r., a były to rzeczy ważne jako dowody w wielu sprawach, zebrane z archiwów krakowskich, lwowskich, sandeckich i warszawskich.

— W Krakowie utrzymuje się pogłoska, że następcą ś. p. kardynała Dunajewskiego na stolicę biskupią będzie biskup sufragan lwowski, książe Puzyna, jego zaś miejsce obejmie ks. Józef Pelczar.

— Kommissya przyszłej wystawy paryzkiej otrzymała plan budowy olbrzymiego balonu na uwięzi, który wedle jego twórców ma przewyższyć wszystkie dotąd statki te powietrzne. Ma on mieć czterdzieści cztery metry średnicy, zatem o 8 metrów więcej od sławnego balonu, zbudowanego w 1878, który był uważanym za rzecz nadzwyczajną w zakresie aeronautyki; objętość jego ma mieć 45.000 metrów kubicznych, a wznosić się będzie wedle zdania jego twórców: mechaników Avrial i Gaillard do wysokości 1.000 metrów, więc wyżej o 550 metrów od uwięzionego też balonu Giffarda, wznoszącego się, jak dotąd, najwyżej. Pokrycie wytwarza cztery warstwy materyi jedwabnej, opasująca go siatka będzie z konopnych mocnych nici, łódka wisząca u spodu obejmować będzie średnicy 10 metrów.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się powieść p. t. **Mamona**, przez Mrs Alexander przekład z angielskiego, ark. 17 i 18.

TREŚĆ: Kassylda Kulikowska, przez J. K.—Topola, przez A. Lange. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicza.—Z Włoch, przez Augusta.—To nie to, ojczulku....., przez L. Ś.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 17 i 18.—Przegląd mód.—30 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 26 Октября 1894 г.